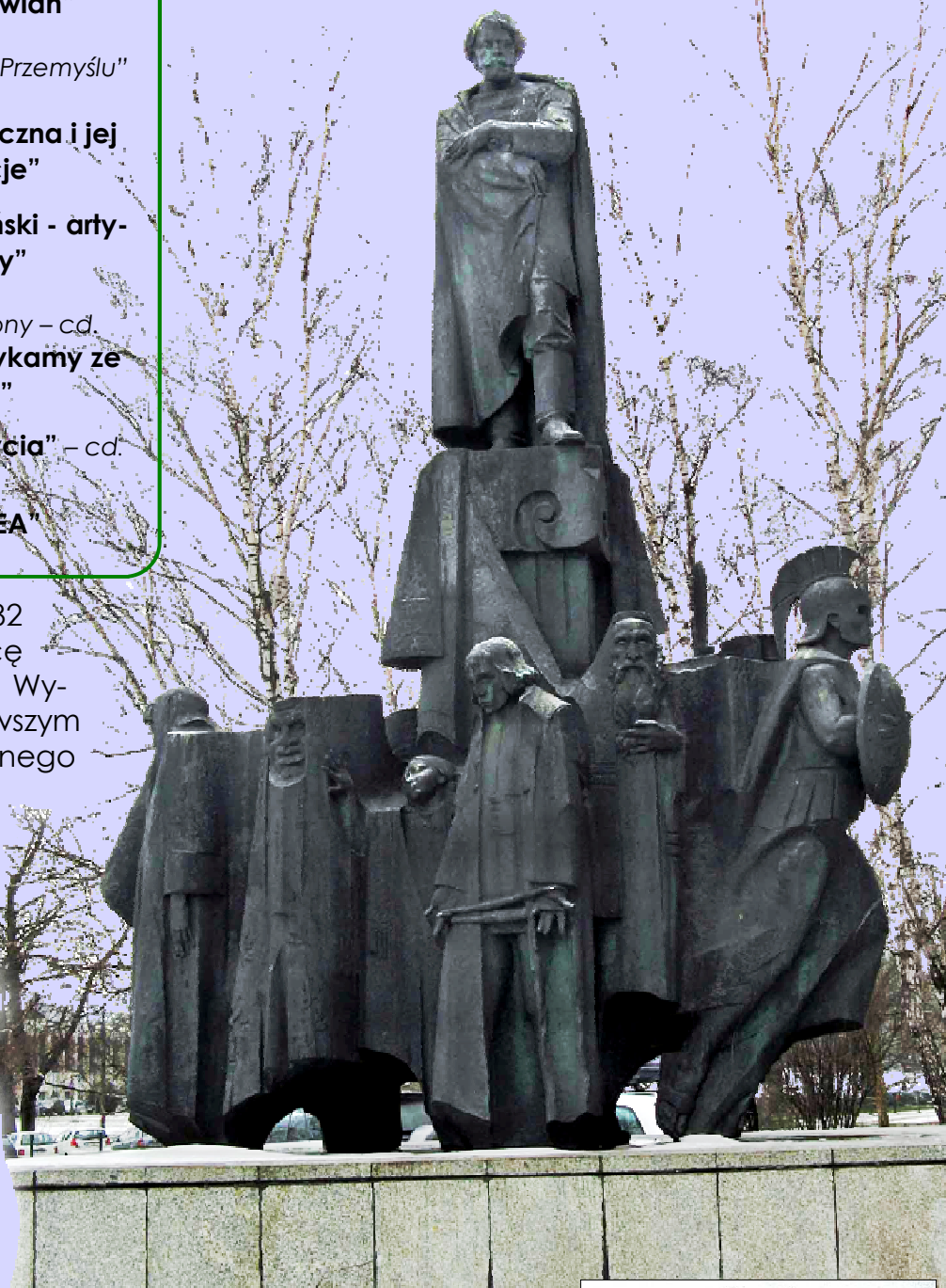


W numerze

- ◇ Epoka żelaza w Europie cz. VIII „Tajemnice Słowian”
- ◇ „Gmina żydowska w Przemyślu” cz. 2 „Analiza urbanistyczna i jej konsekwencje”
- ◇ „Stanisław Wyspiański - artysta przeklęty”
- ◇ Szwejk przedstawiony – cd „Otwieramy i zamykamy ze Szwejkiem”
- ◇ „Notatki z mego życia” – cd.
- ◇ „MISCELLANEA”

28 listopada 1982 roku, w 75 rocznicę śmierci Stanisława Wyspiańskiego, w pierwszym roku stanu wojennego w Polsce, **przed Gmachem Muzeum Narodowego w Krakowie (Aleja 3 Maja 1)** uroczście odsłonięto poświęcony pamięci wielkiego artysty pomnik. Ufundowano go ze środków Komitetu Odbudowy Pomnika Grunwaldzkiego oraz składek publicznych.

Pomnik przedstawia grupę postaci alegorycznych na granitowym cokole. To bohaterowie dramatów Stanisława Wyspiańskiego: Jasiek, Żyd, Chochół, Stańczyk, Isia z Wesela, Wiarus z Warszawianki, Pallas Atena z Nocy Listopadowej. Postacie otaczają kolumnę, na której – okryty peleryną – stoi ich twórca, Wyspiański.



Pomnik
Stanisława Wyspiańskiego
(1869 – 1907)
Autor:
Marian Konieczny
Rok wykonania:
1982

EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz Kozera

Ten tekst będzie ostatnim z tej serii. Dlatego sędzę, że część osób odechnie z ulgą. Ile bowiem można czytać o powstawaniu i upadaniu kolejnych narodów? Ile można czytać o walkach, wojnach podjazdowych i innych nieszczęściach? Choćby były przedstawione w najbardziej syntetyczny i prosty sposób? Zatem – cz. VIII.

TAJEMNICE SŁOWIAN

Celem tego przydługiego, kilkuodcinkowego wywodu było między innymi ustalenie: skąd w Europie wzięli się Słowianie i kiedy naprawdę przybyli (nie zapominając o głównym wątku rozwoju Europy w czasach wykorzystywania żelaza – w celach militarnych i gospodarczych)?

Odpowiedź wcale nie jest prosta. Mimo, że nad problemem biedzi się wielu historyków, archeologów i specjalistów z wielu innych dziedzin. A na dodatek do tematu wtrącają się często politycy próbując „zamieszać” wszelkimi, możliwymi sposobami. Albowiem niektórzy próbują wykazać wyższość jednej kultury nad drugą. Nierzadko posuwają się przy tym do różnych mistyfikacji. Zamierzonych lub przypadkowych.

Tu opisana historia początków pobytu Słowian w Europie także będzie najprawdopodobniej kontrowersyjna. Ale nie jest ona oparta na złych intencjach. Próbuję przedstawić ją tak jak pozwalają na to najnowsze badania i odkrycia. A jeżeli nawet w przyszłości ulegnie zmianie, to przynajm-

niej będzie podstawą do następnych rozważań. I pozwoli stworzyć szereg nowych hipotez, które ostatecznie powinni rozstrzygnąć archeolodzy. Liczę na nich. I obym się nie zawiodł!!!

Na początek będę posiłkował się tekstem Lubomira Czupkiewicza „Najdawniejsze siedziby Słowian”, który ukazał się w miesięczniku popularnonaukowym „Problemy” nr 2 z lutego 1989 roku. Mimo upływu czasu nie stracił on nic na aktualności.

Jako na najstarsze siedziby Słowian wskazał on obszar położony między rzeką Wołgą, rzeką Kamą i rzeką Ural. Oparł się na wzmiance historyka greckiego Klaudiusza Ptolemeusza (100-168), który w „Zarysie geografii” umiejscowił – we wspomnianym miejscu – plemię o nazwie *Suowenoi*. Przetłumaczył tę nazwę jako Słowianie (po szczególności odsyłam do tekstu tego autora).

Autor ten zasugerował również, że Słowianie do tego obszaru przywędrowali ze stepów północnego Kazachstanu (albo obecnego Iranu – uwaga moja),

gdzieś na przełomie III i II stulecia p.n.e. Powodem mogła być wielka klęska suszy, która nawiedziła Azję w tym okresie. Z badań naukowców wynika, że tego typu zjawisko bywało średnio co 660 lat. Susza mogłaby być zatem odpowiedzialna za wszelkie ruchy migracyjne z Azji do Europy, które starałem się opisać we wcześniejszych częściach tego tekstu.

Potem archeolodzy i lingwiści wskazali kolejną siedzibę Słowian nad środkową Wołgą – w połowie V wieku n.e. To zapewne pozwoliło im ominąć kolejne fale ludów najeżdżających Europę. Te ostatnie przemieszczały się trasą bardziej południową, wzdłuż Morza Kaspijskiego i Morza Czarnego. Można w przenośni powiedzieć, że ominęła ich „autostrada wędrujących ludów”. Tym samym nie podzielili losu wielu innych narodów, które zostały albo rozgromione albo wchłonięte przez poszczególne narody.

Chociaż nie ma gwarancji, że jednak na tę „autostradę” jednak nie wstąpili. Wskazywałoby na to ich najstarsze osadnictwo na terenach naddu-

najskich – z drugiej połowy VI wieku n.e. Myślę tu zarówno o terenach położonych pomiędzy Dunajem a Morzem Adriatyckim (obecna Chorwacja i Serbia) jak między Dunajem a obecną Grecją (obecna Bułgaria). Przy czym są dwie alternatywy. Albo przywędrowali razem z Awarami albo tuż po nich. Tę kwestię jeszcze muszą rozstrzygnąć specjaliści kilku dziedzin.

Następnie, PEWNE wzmianki o Słowianach mamy dopiero z pierwszej połowy IX wieku. To informacja o Państwie Wielkomorawskim (822-906) czy informacja o Rusi Kijowskiej (około połowy IX wieku). Są co prawda wcześniejsze dane o Słowianach, ale dotyczą one prób zajęcia obszarów Słowian nad Łabą przez plemiona germańskie (koniec VIII wieku – czasy króla (potem cesarza) Franków Karola Wielkiego). Przy czym Germanie widocznie nie byli zbyt mocni, skoro „napuszczali” jednych Słowian na drugich. W myśl starej, rzymskiej zasady „*divide et impera*”, co tłumaczy się jako „dziel i rządź” (informacja dla współczesnej młodzieży: jak nie możesz kogoś pokonać, to skłóć przeciwników i przejmij nad nimi pełną władzę). Tę ostatnią zasadę stosuje się nawet współcześnie.

Jak zatem łatwo można zorientować się, w wiedzy o Słowianach mamy lukę 200-250 lat. Nie wiemy przy tym czy z siedzib nad rzeką Kamą Słowianie powędrowali od razu na zachód, przez tereny zajmowane przez Finów (lub Ugrofinów – jak kto woli) czy poszli

„autostradą” wraz z innymi ludami. Nie wiemy również kiedy dotarli nad rzekę Łabę czy na tereny obecnej Polski (pierwszy polski książę to Mieszko I, a najstarsza data to chrzest z 966 roku – o starszych dziejach kroniki milczą nie licząc niesprawdzonych danych o przodkach Mieszka I).

Zaistniała zatem potrzeba uzupełnienia tej luki historycznej. Stąd postawiłem opisane niżej hipotezy. Przy czym przypuszczam, że ich potwierdzenie lub obalenie (ewentualnie skorygowanie) wymaga czasu. Czy uda mi się poznać prawdę za życia?

<<< >>>

Zacznijmy zatem od początku. Zgadza się z istnieniem w II wieku n.e. siedziby Słowian w rejonie rzeki Wołgi i Kamy. Dodam, że w „*Powieści minionych lat*” jest wspomiane plemię słowiańskie o takiej samej nazwie – tyle tylko że znane w IX wieku. Zamieszkiwało ono wówczas w sąsiedztwie jeziora Umeń. Zapewne tam przenieśli się po wędrówce z nad rzeki Kamy. I zapewne posłużyło do nadania nazwy wszystkim Słowianom, aż po dzisiejszy czas.

Mam trochę inną teorię na temat skąd Słowianie pojawili się nad Wołgą. Chociaż nie kwestionuję teorii o wielkiej suszy. Ale mógł być także banalniejszy powód ich wędrówki. Może Słowianie wyruszyli ze swoich siedzib położonych w sąsiedztwie Jeziora Aralskiego pod wpływem najazdu jakiegoś wojska?

Nie wiem dlaczego, ale po-

myślałem wówczas o Aleksandrze Wielkim. W 329-27 roku p.n.e. dotarł on między innymi do Baktrii. Ta mogła sąsiadować właśnie z ludem indoeuropejskim, do jakiego zalicza się także Słowian.

A może było to jedno z plemion związanych ze Scytami?

Czas by się mniej więcej zgadzał, a i zbieżność pochodzenia też nie jest bez znaczenia. Chociaż Słowianie mogli mieć nie do końca takie same pochodzenie jak Scytowie. Tu potrzebne są interdyscyplinarne badania. Tych jednak – jak na razie – nie przeprowadzono. Może dotychczasowe narzędzia badawcze były niedoskonałe?

Następną ważną informacją jest kolejna hipoteza. Plemię Madziarów opuściło swoje siedziby w IX wieku. Czy na to miał wpływ napór Rusi Kijowskiej rozrastającej się od strony Karpat na wschód? A może za tym stali Pieczyngowie, którzy napierali od wschodu na zachód? A może Madziarzy znaleźli się w kleszczach obu tych nacji?

Kolejną pewną informacją jest pojawienie się Słowian nad środkowym Dunajem około połowy VI wieku n.e. (lub trochę wcześniej – wraz z przybyciem Awarów lub tuż po nich). Pomocne byłyby tu dalsze, precyzyjne badania archeologiczne.

I tu zaczynają pojawiać się hipotezy co do wędrówki Słowian po wschodniej Europie.

Moim zdaniem – Słowianie najpierw zajęli tereny wzdłuż Bohu i Bugu przejmując stary szlak handlowy z nad Morza Czarnego do Bałtyku. Przy

czym niejasna jest kwestia czy szlak ten nadal działał. Skarby bizantyjskich monet złotych z V-VI wieku mogą sugerować, że tak. W zamian nadal dostarczano z nad Morza Bałtyckiego do Bizancjum bursztyn (duży skarb z tym minerałem odnaleziono w okolicach Warszawy, na początku II wojny światowej, podczas kopania okopów). Pamiętajmy, że jeszcze działał „szlak jedwabny”, który zanikł dopiero w 906 roku.

Należy jeszcze wspomnieć o ważnej informacji historycznej. Historycy z tamtych czasów często myślą Wenedów ze Słowianami. A sprawa wydaje się banalnie prosta. Po wyemigracji Wenedów z terenów nad Bohem i Bugiem (zapewne część poszła na północ, do Skandynawii, a część poszła na południe aż do Hiszpanii – patrz wcześniejsze części tego tekstu) obszary te zajęli Słowianie. Dla opisujących różne nazwy geografów nie miało to żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, że **Słowianie zajęli te same tereny co wcześniej Wenedowie**. A że jedni byli Germanami a drudzy nie? Czy to takie ważne?

Przypomnijmy również inną ciekawą historię znaną z „*Powieści minionych lat*”. W momencie zaistnienia Rusi Kijowskiej (gdzieś około połowy IX wieku według kronikarza Nestora chociażby) ze Słowianami skontaktowały się plemiona germańskie znane pod nazwą Waregów (nawet Morze Bałtyckie było wówczas zwane Morzem Wareskim). Ich podstawowym celem było przetarcie nowego szlaku handlowego

między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Rzeką Łowotą, jeziorem Ilmeń i dalej Dnieprem do Morza Czarnego. Zapewne chcieli handlować z Chazarami, Bizancjum i Arabami. A może jeszcze innymi plemionami? To wciąż jest niedoceniana część historii współpracy Waregów i Rusi Kijowskiej.

To przy okazji sugeruje, że stary szlak handlowy z jakichś powodów przestał istnieć (po co bowiem inaczej tworzyliby kolejny?).

Czas między początkiem VII wieku a końcem VIII wieku to okres przemieszczania się Słowian z południa na północ, aż po pojawienie się ich nad rzeką Łabą. Nie wiem tylko czy będzie możliwe poznanie tych dziejów. Dla przykładu. Archeolodzy niemieccy podczas II wojny światowej zasympywaliby wszystkie wykopaliska ze śladami pobytu Słowian na terenach niemieckich. Nawet w Berlinie. Nie odpowiadały ich koncepcji rozwoju osadnictwa germańskiego na tym terenie. Szkoda, niestety.

Roboczo można przyjąć dwie hipotezy.

Bardziej prawdopodobna to taka, że Słowianie wędrowali wzdłuż Bohu i Bugu. Potem część skręciła na wschód i tak powstała późniejsza Ruś Kijowska – w połowie IX wieku. Inni powędrowali wzdłuż rzeki Wisły zakładając między innymi Państwo Łędzian i Państwo Wiślan. Potem dotarli do rzeki Odry i do rzeki Łaby. Tu wiemy o licznych plemionach ale stosunkowo niewielkich. Mogących jednak szybko zjedno-

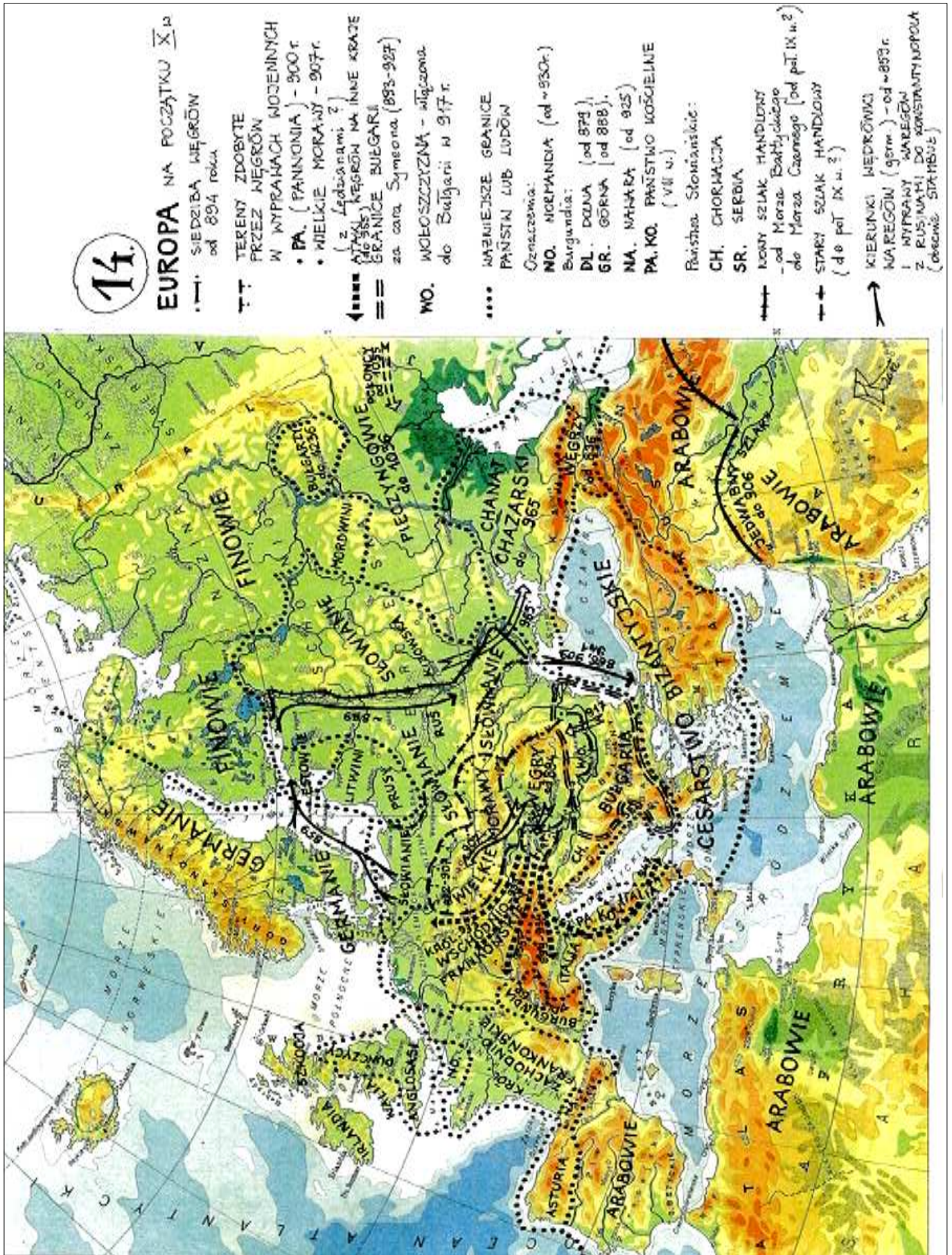
czyć się na wypadek ataku z zewnątrz. Na przykład przez Germanów.

Możliwe, że osadnictwo słowiańskie objęło również ziemie w rejonie jeziora Gopło. Ale mogło to stać się trochę później.

Druga hipoteza wskazuje, że Słowianie powędrowali od południa, od strony dzisiejszej Chorwacji. Ale tę teorię uważam za mało prawdopodobną. Próbowałem to wyjaśnić w części VI niniejszego tekstu, przy zmianie lokalizacji Państwa Samona.

Potem pojawia się Państwo Wielkomorawskie (istniejące w latach 822-907, a obejmujące tereny dzisiejszych Czech i zachodniej części Słowacji, na styku których były kiedyś jeszcze Morawy – stąd nazwa państwa). Pierwsze, którego dzieje poznajemy dość dokładnie, chociaż do dzisiaj kryją szereg niewiadomych i niejasności. Było to oczywiście znowu możliwe dzięki geografom, kronikarzom i historykom zamieszkującym głównie tereny germańskie.

Pojawiają się także wzmianki o Słowianach w źródłach bizantyjskich. Mam na myśli dzieje misjonarzy: Cyryla (właściwie Konstantyna) i Metodego – z IX wieku. Dzieje misji, która zakończyła się około połowy XI wieku (przynajmniej w Polsce). Została ona potem utajniona przez biskupów niemieckich na kolejne kilkadziesiąt lat. Trzeba przyznać, że dość skutecznie, bo zachowane informacje są zwykle fragmentaryczne i trudne do pełnego zanalizowania –



nawet w naszych czasach. Niejeden badacz historii od XIX wieku już „połamał” sobie na niej zęby.

Dalsze dzieje Słowian znamy z licznej literatury histo-

rycznej. Gdzieś od połowy IX czy połowy X wieku. W zależności od tego, którego kraju dotyczą. Choć i tutaj jest nadal szereg spraw niejasnych, a nawet – moim zdaniem –

wręcz zacieranych czy przeinaczonych. I to bynajmniej nie z powodów historycznych, ale uzależnionych od opcji politycznej danego autora. Niestety!!!

Na tym czas wreszcie kończyć. Nie zależy mi na przekonaniu czytelników do moich hipotez. Mam tylko nadzieję, że pobudzę niektórych badaczy do dalszych analiz historycznych i poszukiwań, które po-

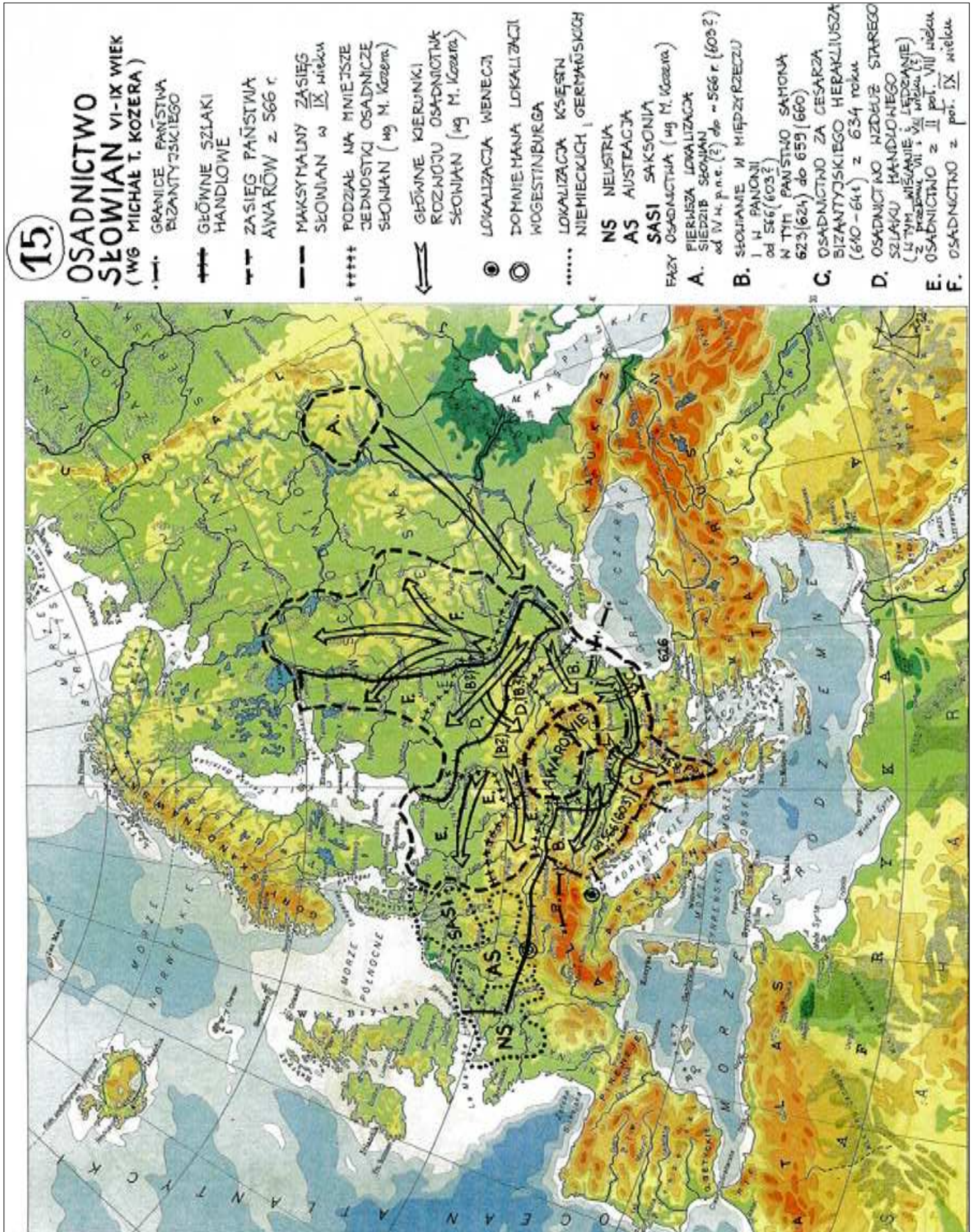
zwolą uzyskać wiedzę w miarę najbardziej obiektywną!!!.

SZCZEGÓLNICIE W DOBIE POWSTAWANIA NOWEJ, ZJEDNOCZONEJ EUROPY. TAKIEJ, W KTÓREJ WSZYSTKIE PAŃSTWA – BEZ WZGLĘDU NA „PRZYNALEŻNOŚĆ RASO-

WĄ” SPRÓBUJĄ SIĘ CHOCIAŻ CZĘŚCIOWO POROZUMIEĆ.

CIEKAWIE TYLKO CZY JEST TO MOŻLIWE I NA JAK DŁUGO?

Kraków, styczeń 2012 roku



W pierwszej części tekstu starałem się wykazać, że Żydów w Przemyślu nie było w XI wieku. Przynajmniej moim zdaniem. Bo jak znam sposób myślenia niektórych badaczy, to nadal będą upierać się przy starych teoriach. Oni już tak mają.

Teraz spróbuję dojść do kolejnych ustaleń na temat osadnictwa żydowskiego. Posłużę się przy tym analizą urbanistyczną. Postaram się przedstawić ją maksymalnie prosto i jasno. Zatem:

GMINA ŻYDOWSKA W PRZEMYŚLU ANALIZA URBANISTYCZNA I JEJ KONSEKWENCJE – CZ. 2

Michał Tadeusz Kozera

Dla dalszych analiz posłużyłem się planem dawnej dzielnicy żydowskiej. Powstał on z połączenia współczesnej mapy miasta z planem katastralnym z 1852 roku. Takie bowiem działanie zapewniało, że wnioski powinny być w miarę prawdopodobne i będą zawierać stosunkowo mało błędów.

Pierwszą zasadniczą rzeczą było wyznaczenie przebiegu murów obronnych miasta. Problem polega jednak na tym, że wiemy o ich istnieniu, a nie znamy ich dokładnego przebiegu. Na dodatek nie znamy lokalizacji baszt i bram miejskich.

Co prawda zachowało się kilka widoków pokazujących te obwarowania, ale nie są one do końca wiarygodne. Na dodatek władze miasta nigdy nie sfinansowały szerszych prac archeologicznych w tej kwestii. Trudno zresztą się dziwić. Wystarczająco dużo niewiadomych było na terenie dawnego zamku i jego przedmieść. Przypomnijmy tylko, że prace archeologiczne trwają tam od lat pięćdziesiątych XX wieku do dzisiaj (to już około pół wieku czasu!!! – uwaga M. K.). A mimo to nadal nie ma odpowiedzi na szereg pytań związanych z tym terenem. Chociaż wiele spraw udało się pogłębić i do-

precyzować. Oby tak dalej.

Zatem i mnie nie uda się tego problemu rozwiązać do końca. Pozwolę sobie przedstawić tylko kilka hipotez, które ostatecznie powinny rozstrzygnąć badania archeologiczne w przyszłości.

Sam przebieg murów obronnych jest stosunkowo prosty do odtworzenia. Błąd nie wynosi więcej niż kilka metrów w obie strony. Gorzej wygląda kwestia rozmieszczenia baszt i bram miejskich.

Bramy miejskie to nawet nie tak trudno zlokalizować. Wiemy to przede wszystkim z akt miasta Przemyśla. Przynajmniej teoretycznie. Jedna stała na końcu ulicy Lwowskiej, druga na końcu ulicy Grodzkiej, a trzecia na końcu ulicy Mostowej. Była jeszcze mniejsza brama, która prowadziła na zamek.

Dwie pierwsze ulice są nazywane jak wtedy. Zatem lokalizacja baszt powinna być stosunkowo prosta. Mimo to nie odnaleziono ich dotychczas. Albowiem powstaje problem, jak daleko od Rynku je wybudowano. Dwie wersje pokazałem na rysunku. A przecież brama Wodna (na końcu ulicy Mostowej) mogła stać jeszcze bliżej rzeki San niż to wskazałem na rysunku. Brama Grodzka nas nie interesuje, podobnie jak

Brama „zamkowa”, bo nie są związane z omawianym tu tematem. Ich lokalizacje także znamy teoretycznie. Mimo, że stosunkowo dokładne prace archeologiczne przeprowadzono w rejonie zabudowań kapituły. Chociaż „rodziły się one w znacznych bólach”. I po mocnych naciskach środowisk konserwatorskich.

Najwięcej problemów narzęca Brama Lwowska, która stała na końcu ulicy o tej samej nazwie. Powody były dwa. Jeden dotyczył lokalizacji samej ulicy Lwowskiej. Jedni widzieli ją jako dzisiejsza ulicę Franciszkańską a inni jako Kazimierza Wielkiego. Moim zdaniem ulica Lwowska to ulica Kazimierza Wielkiego. Przekonanie bierze się z prostej analizy. Ulica Mostowa, ulica Grodzka, ulica Lwowska i niewymieniona jeszcze ulica Świętojańska (chodzi o dzisiejsze ulice: Adama Asnyka i Katedralną – uwaga M. K.) tworzyły lokacyjny układ wiatrakowy. Tak typowy dla miast lokacyjnych z XIV wieku. Przy czym gwoździ sprawiedliwości trzeba dodać, że w XVI wieku nazwa ulicy Lwowskiej zapewne rozszerzyła się jeszcze na drugą ulicę czyli dzisiejszą Franciszkańską. Wszak obie ulice zbiegały się w jednym punkcie – przy Bramie Lwowskiej.

skiej.

À propos tej Bramy. Jej lokalizacja jest także nie do końca jasna. Większość badaczy lokalizuje ją właśnie na styku dzisiejszej ulicy Kazimierza Wielkiego i Franciszkańskiej. Jest to logiczne, ale przeczy widokowi miasta z 1637 roku. Albowiem uwzględniając tą rycinę – i kilka mniej dokładnych widoków na obrazach z I połowy XVII wieku – należałoby lokalizację tej bramy przenieść bardziej na zachód. W to miejsce, gdzie pokazałem na rysunku. Wówczas po jednej i drugiej stronie tej Bramy Lwowskiej byłyby po dwie baszty obronne. Jest to tym bardziej logiczne, że właśnie od wschodu następowało najwięcej ataków na miasto. Czy to Kozaków, czy to Siedmiogrodzian, czy to Szwedów czy innych. A umieszczenie Bramy w sposób centralny dawało większe bezpieczeństwo dla obrońców miasta.

A może w tym drugim miejscu należy bardziej lokalizować bramkę znaną z widoku z 1666 roku? Niestety. Musimy poczekać na rozstrzygające badania archeologiczne.

Kolejnym etapem analizy urbanistycznej było wskazanie najbardziej prawdopodobnych domów zamieszkiwanych przez Żydów. Domy te były skupione głównie przy ulicy Żydowskiej, potem przy ulicy Wodnej (nazwa pokazana na rysunku, nie ta znana dzisiaj – uwaga M. K.) i przy ulicy Na Wale, zwanej też Wałową (też nazwa z rysunku – obecnie to ulica Ratuszowa).

O ich rozmieszczeniu wiemy trochę z tekstu Kazimierza Arłamowskiego, który został zamieszczony w książce „Tysiąc lat Przemysła”. Moim zdaniem tekst tego autora dzisiaj wymaga ponownej analizy i badań. Zawiera wiele błędów i pobeżnych analiz. Wszak od

jego powstania minęło już ponad trzydzieści lat.

Dodajmy, że domy żydowskie zostały pokazane kolorem żółtym. Natomiast domy chrześcijan pokazano kolorem czerwonym. Wszystkie inne kolory to domy przejściowe, położone w miejscach mogących posiadać inne przeznaczenie. Tak na przykład oznaczono działki z domami przy końcu ulicy Na Wale. Albowiem jeżeli tam był pierwotny wylot ulicy lwowskiej do bramy miejskiej, to nie mogły stać domy mieszkalne czy inne.

Z kolei niebieskim kolorem pokazano lokalizację najstarszej – znanej nam dzisiaj – synagogi. Z lat 1592-94. Widać przy tym, że nie została ona zlokalizowana przypadkowo w tym miejscu. Albowiem stoi ona centralnie na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej. Dla uzmysłowienia tego faktu narysowałem dwa okręgi. Jeden o promieniu około 90 metrów, a drugi o promieniu 115 metrów. Mniejszy obrazuje zasięg osadnictwa z końca XVI wieku, a drugi z przełomu XVII i XVIII wieku. Przynajmniej moim zdaniem.

Próbowałem również wskazać potencjalną lokalizację łaźni zwanej także po żydowsku *mykwą*. Stała ona nad Sanem, przy ówczesnej ulicy Wodnej (stąd zapewne nazwa tej ulicy). Nie wiem tylko czy ta łaźnia była tylko żydowska czy była zarówno chrześcijańska. W tamtych czasach nie robiono z tym takich problemów jak dzisiaj. Kwestia raczej polegała na ustaleniu dni, w których dostęp mieli jedni lub drudzy. Podobnie było w Krakowie.

Wskazałem również domniemaną lokalizację działki, na której planowano wybudować szpital żydowski i dom dla kantora i szpitalnika. Pokazałem ją kolorem pomarańczo-

wym. Wielkość działki wzięłem z opracowania Jacka Błońskiego „Zaginiony świat...”. Zastosowałem przeliczenie łokci na łokcie krakowskie: 1 łokieć krakowski = 57,6 cm. Dodajmy, że działka ta znajdowała się na dawnym wale miejskim. Zatem kropkami pokazałem domniemany przebieg pierwszych obwałowań ziemnych wokół układu lokacyjnego z 1389 roku, z czasów króla Władysława Jagiełły.

Moim zdaniem obwałowania te obejmowały tylko Rynek i sąsiadujące z nim bloki zabudowy. Przynajmniej od strony północnej i wschodniej. Dlatego należy przyjąć, że pierwsza Brama Lwowska była już w rejonie skrzyżowania obecnej ulicy Kazimierza Wielkiego i obecnej ulicy Serbańskiej. Ale to także wymaga uzupełniających badań archeologicznych. Lub w okolicy.

Nie zapominajmy, że podczas badań archeologicznych przy budowie obecnej siedziby Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej natrafiono na ślady tego wału i palisady. Ciekawe czy moje domniemania są poprawne?

Kolejnym, ważnym elementem jest układ i kształt ulic. Plan katastralny wyraźnie wskazuje, że główna ulica dzielnicy żydowskiej zaczyna się na przedłużeniu dzisiejszej ulicy Serbańskiej, potem biegnie łukiem w formie ćwierci koła i kończy bieg na ulicy Mostowej. To oznacza, że ulica ta musiała powstać w tym samym czasie co miasto lokacyjne lub trochę później. Wiemy, że lokacja miasta miała miejsce w 1389 roku. Natomiast pierwsza, znana wzmianka o Żydach to 1402 rok (bo pierwsza wzmianka o ulicy Żydowskiej to 1415 rok). Zatem ulica Żydowska powstała między 1389 a 1415 rokiem. O ile

nie w węższym przedziale, czyli pomiędzy 1389 a 1402 rokiem.

Istotną jest również lokalizacja ulicy Wodnej. Większość badaczy widziała ją do tychczas tam, gdzie jest aktualnie wymieniona na aktualnym planie miasta. Moim zdaniem należy ją przesunąć bardziej na wschód. Jej lokalizację pokazałem na rysunku. Prowadziła ona zapewne od ulicy na wale do murów miejskich. Tam kończyła swój bieg przy łaźni. Lokalizację tego ostatniego pokazałem także na rysunku. W II połowie XIX wieku w tym miejscu postawiono nową synagogę Tempel.

Na rysunku planu katastralnego dorysowałem również lokalizację jeszcze jednego kwartału zabudowy. Powinien się znajdować między ulicą Wodną a ulicą Żydowską. Placu raczej nie było, bo nie wymieniają go żadne źródła historyczne. Chyba, że był mały, przeznaczony dla lokalnego handlu wewnątrz dzielnicy żydowskiej. Dalsze ustalenia w tej kwestii będą możliwe dopiero po przeprowadzeniu stosownych badań archeologicznych i architektonicznych.

Na koniec należy wspomnieć o układzie działek na tym terenie. Pobieźny ogląd już wskazuje, że działki są ustawione w trzech wersjach. Działki przy ulicy Wodnej są ustawione w kierunku ulicy Mostowej. Działki przy ulicy Na Wale są ustawione w kierunku tej ulicy i w kierunku murów obronnych miasta. Z kolei działki przy ulicy Żydowskiej są ustawione prostopadle do tej ulicy i do murów obronnych miasta tworząc lekką krzywiznę w obu kierunkach.

To wskazuje – przy równoczesnym wykorzystaniu badań historycznych i archiwalnych – na co najmniej dwie fa-

zy osadnictwa żydowskiego.

Najstarsza część dzielnicy to domy i działki zlokalizowane przy ulicy Żydowskiej. Pozostaje tu tylko kwestia do wyjaśnienia krzywizny tych działek od strony murów obronnych. Albo działki zmieniły swój kształt na tyłach po wykonaniu murów obronnych (do tego układu nawiązuje najstarsza synagoga, która powstała w tym samym czasie co mury obronne) albo działki wytyczono w całości po wykonaniu murów obronnych. Zatem bez względu na wszystko mielibyśmy dwie fazy osadnictwa – z przed i po budowie murów obronnych. Różnica miałyby tylko wpływ na sposób kształtowania się zabudowy poszczególnych działek. Rozwiązanie tej zagadki wymaga badań archeologicznych i architektonicznych.

Kolejna faza to zabudowa działek przy ulicy Wodnej i przy ulicy Na Wale. W pierwszym przypadku domy najpierw były chrześcijańskie, a dopiero potem żydowskie – po połowie XVIII wieku. Podobnie mogło być z ulicą Na Wale. Z badań *a r c h e o l o g i c z n y c h* (prowadzonych przy budowie nowej siedziby Muzeum Narodowego) wiemy, że powstały one na przełomie XVI i XVIII wieku. Tyle tylko, że nadal otwartą jest kwestia zajmowania tych domów przez Żydów. Stało się to już w XVI wieku czy dopiero w II połowie XVII wieku? Na jednoznaczne ustalenia jeszcze musimy poczekać.

Na koniec wspomnijmy o dwóch obszarach zabudowy. To działki pokazane dwukolorowo w formie zebry. Jeden znajduje się na terenie domniemanej drogi do jednej z wersji Bramy Lwowskiej. Drugi to teren zabudowany po wyburzeniu murów obronnych miasta. W pierwszym przypadku można domniemywać, że zabudowa te-

go terenu nastąpiła najpóźniej w XVII wieku. Natomiast w drugim przypadku zabudowa nastąpiła w I połowie XIX wieku. Wkrótce po wyburzeniu murów obronnych miasta. Może jakieś informacje dokładniejsze są w archiwum miejskim? Nie słyszałem o publikacjach dla tego okresu. A może myłę się?

Tu mała ciekawostka. Czytając tekst Kazimierza Arłamowskiego doszedłem do wniosku, że ulica „z Rynku ku Żydom” pojawiła się dopiero po połowie XVII wieku. Mogła pojawić się w związku z ekspansją Żydów na kolejne tereny – chociażby przy Rynku. Zatem nazywanie jej obecnie ulicą Wodną jest kompletnie ahistoryczne. Z drugiej strony rzeczywistej ulicy Wodnej z XVI wieku dzisiaj nie ma. Współczuje temu, który będzie musiał w przyszłości rozstrzygnąć ten problem.

Najciekawszym jednak problemem pozostaje lokalizacja cmentarza żydowskiego. Czy był on w obrębie murów miejskich, podobnie jak w Krakowie? Czy cmentarz był poza murami miasta z wyjściem przez boczną bramę?

Może kiedyś poznamy odpowiedź na to pytanie. Chociaż prawdopodobieństwo znalezienia tego cmentarza jest niewielkie. Może z nim są związane szkielety odnalezione podczas badań archeologicznych Muzeum Narodowego?

Tyle analiz urbanistycznych. Wydają się one mało ciekawe, ale bez nich nie można przedstawić przekształceń Dzielnicy Żydowskiej na przestrzeni dziejów. A przynajmniej będą one wydawać się stosunkowo jasne i proste. Zatem zapraszam do czytania kolejnej części tekstu.

Kraków, kwiecień 2012 r.

Stanisław Wyspiański, *Autoportret*, 1902

W dniu 19 stycznia 2013 roku, w „Dzienniku Polskim”, ukazał się wywiad z Dorotą Wyspiańska Zapędowską pod znamienym tytułem: „Dobro narodowe? Nie, to mój dziadek”. Tytuł tego tekstu i jego treść poraziły wszystkie moje zmysły. Zrozumiałem teraz, dlaczego Muzeum Szołajskich – przy placu Szczepańskim w Krakowie – zmieniło wystawę poświęconą życiu i twórczości Stanisława Wyspiańskiego na poświęconą Młodej Polsce. Należy się nawet liczyć z tym, że wkrótce twórczość tego artysty przepadnie bezpowrotnie. Natomiast jego samego będziemy mogli nazwać:

STANISŁAW WYSPIAŃSKI ARTYSTĄ PRZEKŁĘTĄ

Skąd ten pesymizm? Z treści tego wywiadu wynika, że spadek po Stanisławie Wyspiańskim został przekazany w ręce prywatne. W majestacie prawa, przez polski Sąd. To może oznaczać, że wszystkie jego prace zostaną przekazane w ręce prywatne, dwóch oficjalnych spadkobierców (i ich rodzin oczywiście). Tych najprawdopodobniej nie będzie stać na ich konserwację (mam na myśli między innymi jego prace malarskie, kartony do witraży i temu podobne dzieła). Zatem szybko zniszczą a twórczość artysty będziemy znali tylko z literatury. Taki scenariusz jest bardzo prawdopodobny.

Czy polski Sąd uwzględnił wszystkie za i przeciw? **MOIM ZDANIEM NIE, NIE I JESZCZE RAZ NIE.**

W Polsce nie wolno podważać postanowień sądu. Zatem i ja tego nie uczynię. Teoretycznie pragnę tylko podzielić się z czytelnikami QL nad innymi uwarunkowaniami w tej sprawie.

W procesie sądowym nie uwzględniono zasady zasiedzenia. Czyli faktu, że prace tego autora przez STO LAT (sic!!!) znajdowały się w Muzeach Narodowych kilku miast. Nawet nie rozważano takiej kwestii.

Nie pierwszy to przypadek i zapewne nie ostatni. Ale może ta zasada nie dotyczy dóbr narodowych? Mówi się: trudno. Skoro prawnicy uznali, że nie ma to znaczenia – to co mnie zwykłemu zjadaczowi chleba do tego?

W niniejszym tekście pragnę jednak zwrócić uwagę na inną kwestię. Moim zdaniem – powinna być ona kluczowa w sprawie spadku po Stanisławie Wyspiańskim. Chociaż jest to tylko hipoteza, ale o dużym procencie prawdopodobieństwa.

Nie będę tu przedstawiał wszystkich faktów z życia tego artysty, bo zostały one opisane w kilku biografiami. Mniej lub bardziej dokładnych. Jego życie byłoby wspaniałym tematem do filmu biograficznego. Byłby on na pewno dużo bardziej ciekawy niż niektóre „produkcyjniaki” ostatnio puszczane w polskich kinach.

Na początek przytoczmy tylko kilka najważniejszych faktów z życia tego artysty.

Urodził się w dniu 15 stycznia 1869 roku w Krakowie. Matka zmarła, gdy miał 7 lat. Ojciec z kolei zmarł na pięć lat przed śmiercią artysty, ale dożył 66 lat. Sam Wyspiański umarł młodo – w wieku 38 lat. Przy czym – jak na tak krótkie życie – dokonał bardzo dużo. Zaczął od pomocy przy malowaniu polichromii w kościele Mariackim, przy Rynku Głównym w Krakowie – w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Najlepszy jego okres twórczości to lata 1900-1905, kiedy pisał sztuki teatralne, przygotowywał witraże, dużo malował (szczególnie pastelami). Zmarł w dniu 28 listopada 1907 roku.

Dodajmy jeszcze, że w dniu 30 listopada 1900 roku ożenił się z Teodorą Teofilą Pytko – chłopką z podkrakowskiej wsi. Wiemy, że ona

urodziła się w 1868 roku, a zmarła w 1957 roku. Po ślubie urodziło mu się jedno dziecko: Stanisław – w 1901 roku. Biografowie przypisują mu jeszcze dwójkę dzieci: Helenę (urodzona w 1895 roku), Mieczysława (urodzonego w 1899 roku). Sama Teodora Pytko miała jeszcze jedno dziecko. To nieślubny syn Teofil. Ten urodził się jeszcze przed poznaniem Wyspiańskiego, zatem nie mógł być mu nawet teoretycznie przypisany. Dodajmy jeszcze jedną ważną wiadomość. W rok po śmierci Stanisława Wyspiańskiego wdowa wyszła za mąż za Wincentego Waśko.

Obecnie spadek po Stanisławie Wyspiańskim uzyskały dzieci i wnuki Heleny i Stanisława juniora.

Te fakty zasadniczo znają wszyscy fani tego artysty. Znana jest również jeszcze inna ważna informacja. Chociaż nikt nigdy nie wyciągnął z niej żadnych wniosków.

Stanisław Wyspiański umarł na syfilis. Chorobę w tamtych czasach dość popularną i wtedy nieuleczalną. Dopiero *penicilina* po II wojnie światowej ograniczyła zasięg jej działania. Chociaż ostatnio – podobno – ponownie zbiera zniwo. Głównie za sprawą złego stosowania leków w okresie socjalizmu, co doprowadziło do uzyskania przez nią odporności na wspomniany tu lek.

Biografowie podają że chorobą francuską (inna nazwa syfilisu) Stanisław Wyspiański zaraził się – *nomen omen* – w Paryżu. Tam przebywał w latach 1891-1894, dzięki stypendium przyznanemu mu po docenieniu jego prac malarskich przy konserwacji katedry mariackiej przy Rynku Głównym w Krakowie. Można zatem łatwo policzyc, że chorował na nią około 13-16 lat (są tacy, którzy podejrzewają go o jej „złapanie” później, w Krakowie. Nie podają jednak żadnych dat. Wówczas okres jej „wylęgania” byłby krótszy). Największe zniwo jednak zebrała ta choroba w latach 1905-1907, kiedy nie mógł już w ogóle pracować. Stan jego zdrowia był wówczas tragiczny. Nie wiadomo czy choroba zrobiła sama takie spustoszenie czy był to efekt stosowania leków zawierających rtęć (czym wówczas najczę-

ściej leczono na nią chorych).

W sprawie tej choroby powinni się przede wszystkim wypowiedzieć współcześni nam lekarze wenerolodzy. Tacy, którzy znają realia jej działania na początku XX wieku. Ich informacje będą najpewniej kluczowe w tej sprawie. Tu tylko nadal poruszamy się w strefie hipotez – dla przypomnienia.

W przytoczonym na wstępie wywiadzie, podobnie jak w żadnej biografii Stanisława Wyspiańskiego, nie ma **żadnej informacji o przekazaniu tej choroby dzieciom – formalnym czy przypisywanym**. Łatwo to można zrozumieć. Nie jest to powód do ewentualnej dumy.

Na dodatek dodajmy jeszcze fakt, że choroba ta może być przekazywana dzieciom przez matkę – podczas ciąży. Wnioski nasuwają się same:

Stanisław Wyspiański nie był ojcem żadnego z dzieci mu przypisywanych!!

Co pośrednio oznacza, że nikt z rodziny nie powinien uzyskać spadku po tym artyście. Przy najmniej teoretycznie. Jego prace powinny stać się dobrem narodowym, a nie prywatnym.

Skąd takie przypuszczenia? Odpowiedź jest zasadniczo prosta. Osoby zarażone chorobą weneryczną są – według mojej wiedzy – bezpłodne. Zatem ojcem późniejszych dzieci nie mógł być Stanisław Wyspiański. O ile potwierdzi się czas zarażenia w Paryżu. W latach 1891-1894.

Ale jest ważniejszy dowód na potwierdzenie mojej hipotezy. Teodora Pytko zmarła w 1957 roku **dożywając 89 lat!!** Tak, to nie pomyłka.

Są dwa możliwe wytłumaczenia tego faktu. Albo była odporna na tę chorobę (co jest raczej praktycznie niemożliwe), albo nie miała kontaktów intymnych ze Stanisławem Wyspiańskim. Tym samym nie mogła mieć z nim dzieci. **Przeżyła artystę o 40 lat!!!**

Kolejny wniosek nasuwa się sam. Teodora Pytko miała dzieci z innym mężczyzną. Może z tym, którego w końcu poślubiła w rok po śmierci Wyspiańskiego?

Może zaszantażowała Wyspiańskiego oko-

to 1900 roku, że dalszą opiekę nad nim będzie sprawować, jeżeli się z nią ożeni? Był już przecież znany. Wiedziała, że jego prace mogą być w przyszłości warte fortuny. Tym bardziej, że w tym samym czasie choroba już musiała poczynić znaczne postępy. Pamiętajmy, że ich ślub odbył się w atmosferze skandalu. Pierwszy został unieważniony, a dopiero drugi, w tajemnicy, doszedł do skutku. Oficjalnym powodem był fakt zostania przez niego ojcem chrzestnym jednego z dzieci Teodory Pytko. Ale czy był to jedyny powód? Ciekawe jakie informacje kryją dokumenty w archiwum Kurii Krakowskiej?

Co prawda formalno-prawnie mały Stanisław urodził się w okresie małżeństwa Stanisława-ojca z Teodorą – w rok po ich ślubie, w 1901 roku. Ale czy na pewno był jego synem? Wyjaśnienia są wskazane wyżej.

Na koniec należy wspomnieć, że najbardziej prawdopodobnym dzieckiem Wyspiańskiego mogła być Helena. Przyszła na świat w 1895 roku, zatem w okresie około jednego do czterech lat po powrocie artysty z Paryża. Jego choroba mogła jeszcze nie poczynić aż tak dużych spustoszeń w organizmie. Chociaż w formalnych dokumentach jest wpisane, że matką jest Teodora Pytko, a ojciec jest nieznany.

Dodajmy, że w wywiadzie z Dorotą Wyspiańską Zapędowską wspomniano o wysłaniu Heleny do szkoły w Szwajcarii. Stało się to za sprawą krakowskiego archiwisty A. Chmiela, który był egzekutorem testamentu Stanisława Wyspiańskiego. Wszak tylko temu dziecku formalnie został zabezpieczony byt po śmierci artysty. Może rozmowa Wyspiańskiego z lekarzami zasugerowała mu, że to może być jedyne jego prawdziwe dziecko? Z powodu późniejszej jego bezpłodności, o czym pisałem już wyżej.

I tak mamy tragedię na wzór antycznych. Stanisław Wyspiański staje się człowiekiem przeklętym. I to wiele, wiele lat po śmierci. Chociaż wiele odpowiedzi na postawione tu pytania mogliby dać specjaliści z zakresu medycyny sądowej czy wenerologii. To jednak wymagałoby zapewne szeregu ekshumacji i drogich badań genetycz-

nych.

A może wystarczyłoby porównać kod genetyczny Stanisława Wyspiańskiego z jego domniemanymi potomkami?

Najgorsze jednak jest to, że w między czasie zabytki po Stanisławie Wyspiańskim najprawdopodobniej przepadną. Ten tragiczny artysta nie miał szczęścia za życia i zapewne podobny los spotka go po śmierci.

A jakie jest zdanie czytelników Quod Libet? Czy spuścizna po Stanisławie Wyspiańskim jest dobrem narodowym czy własnością prywatną?

MTJK

PS.

Czy czytelnicy QL pamiętają słynną historię króla Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny? Tam także główną rolę odegrała ta sama choroba. Potwierdziły to badania archeologiczne przeprowadzone w grobie Barbary w Wilnie, w latach trzydziestych XX wieku. Tyle tylko, że historycy bałamucili nas nieprawidłowymi informacjami. To nie Barbara zaraziła króla, tylko król zaraził Barbarę. Ta pochodziła z terenów, gdzie tej choroby jeszcze nie znano (została sprowadzona do Europy przez Hiszpanów z Ameryki Środkowej – w okresie konkwisty – na przełomie XV i XVI wieku). Dlatego też Barbara tak szybko zmarła, praktycznie w ciągu roku. Przebieg choroby miał zatem charakter bardzo gwałtowny i szybki. A jak „załapał się” na tę chorobę król Zygmunt August? Banalnie, przez głupotę matki. Jedna z dworek królowej (przywiezionych z księstwa Bari) „sprzedała” ją przyszłemu władcy. Dlatego też najpewniej Zygmunt August nie miał potem żadnego potomka. Był najprawdopodobniej bezpłodny.

Na usprawiedliwienie królowej możemy podać fakt, że była to nowa choroba. Pojawiła się dopiero co w Europie. Zatem może nie zdawano sobie jeszcze sprawy z jej skutków?

Ta choroba może również „odpowiadać” za późniejsze kłopoty Zygmunta Augusta w kontaktach z Habsburżankami. Ataki epilepsji tyżesz mogły powstawać po zobaczeniu zmian na skórze Zygmunta Augusta. A nie należały one najprawdopodobniej do przyjemnych widoków. Wszak choroba ta była w okresie największej aktywności po pojawieniu się w Europie. To tak jak dzisiaj zmagamy się z AIDS, grypą ptasią Ebołą czy innymi.

Kraków, styczeń 2013 roku

SZWEJK PRZEDSTAWIONY, czyli 100 lat z okładem (z opodeśdoku)

Otwieramy i zamykamy ze Szwejkem!



Przemysław Piotrowski

W poprzednim numerze QL przedstawiłem Czytelnikom Dobrego Wojaka Szwejka jako postać – poprzez koleje życia Jarosława Haszka, jak i opisane w jego książce przygody naszego bohatera – powiązaną z Krakowem i Przemyślem. Jak pamiętamy, Szwejk nie był abstynentem; między innymi dlatego został pucybutem feldkurata Katza. Trzeba jednak wyraźnie zazna-

czyć, że Dobry Wojak używał trunków z umiarem. Umiął ugotować wspaniały grog i lubił dobre piwo – choćby takie, jak podawano w gospodzie Pod Kielichem. Jak sam podkreślał, choć zdarzyło mu się poznać jednej nocy uroki dwudziestu ośmiu szynków, to w żadnym nie zamówił więcej, niż trzy piwa!

Między innymi ze względu na barwne piwne historie, opowiadane na

kartach „Przygód Dobrego Wojaka Szwejka”, jego popkulturowy wizerunek jest mocno związany ze złocistym trunkiem. Czytelnicy książki zapewne nie uświadamiają sobie nawet, jak często postać Szwejka była wykorzystywana w reklamie piwa. Czas, przynajmniej częściowo, wypełnić tą lukę. Szwejka możemy napotkać już podczas otwierania butelki...

Zrobiony ze stali, ma 21 ząbków i trzyma mocno. Co to takiego? Kapsel! Fachowo zwany jest zamknięciem koronowym i jest starszy od Szwejka – ma już 120 lat! Wynaleziony przez Amerykanina Williama Paintera wszedł na rynek w 1892 roku jako crown cork. Najpopularniejszy typ

kapsla jest zrobiony ze stali i posiada tzw. uszczelkę, która izoluje napój od blachy. Choć na portalach dla entuzjastów piwa można znaleźć setki sposobów otwierania kapslowanych butelek, wciąż najpopularniejszym i... najbezpieczniejszym jest użycie otwieracza.



Szwejk na kapslach promuje Czechy i miasto Jarosława Haszka - Pragę.



Kapsle browaru Rakovník, który wywodzi swoją historię z XV wieku. Bakalarz (z prawej) to tradycyjne logo browaru.



Po upadku czechosłowackiej „totality” Pivovar Rakovník zaczął eksportować piwo na rynek niemiecki. Uznano, że najlepszą zachętą będzie dodatkowy napis Schweikbier, czyli piwo Szwejka!



Niemiecki browar Herforder w 2008 roku zamykał butelki kapslami, na których

umieszczono symbole europejskich krajów wraz z toastem „na zdrowie!” w językach narodowych. Jak widać za symbol Czech uznano Szwejka.



Szwejk zawędrował nawet do Bułgarii – piwo na cześć naszego bohatera warzy browar Boliarka w mieście Veliko Turnovo.



Być może ze względu na rosyjski epizod Haszka, postać Szwejka jest bardzo popularna w Rosji. Na zdjęciu kapsle Pivzavodu Iskitim w obwodzie nowosybirskim.

Co prawda w Polsce wizerunek Szwejk nie pojawił się na piwnych kapslach, ale za to znajdziemy otwieracze z podobizną Dobrego Wojaka.



Browar w Bojanowie, założony przez Franza Junke, działał od 1881 roku. W okresie międzywojennym firma zajmowała siódme miejsce wśród wielkopolskich warzeln. Po wojnie znacjonalizowany, w 1971 roku zakład stał się częścią Wielkopolskich Zakładów Piwowych w Poznaniu, by pod koniec lat 70-tych XX wieku działać najbardziej prężnie. W 1999 roku Kompania Piwowarska Lech postawiła zakład w stan likwidacji, a potem upadłości. Browar udało się uratować na kilka lat przed ostatecznym zamknięciem w 2006 roku, w latach 2001-2005 warzono w nim piwo marki Szwejk*. Z tego okresu pochodzą pokazane otwieracze.



tam członkiem lokalnego Sowietu i pisał do bolszewickich gazet. Bar, z którego pochodzi otwieracz mieści się na ulicy Karola Marksa.



Niezapomniana kreacja filmowa Rudolfa Hrušínskogo uwieczniona na piwnym otwieraczu

* A. Jakubowski „Ciężki żywot Szwejka”, *Panorama Leszczyńska*, 21.09.2008



Współcześnie produkowane otwieracze są doskonałym dowodem, że kuracja odmładzająca nie każdemu służy.



W latach 70-tych XX wieku podobizna Szwejka pojawiła się na otwieraczach w kształcie beczki piwa. Mimo, iż upływ czasu zrobił swoje, Szwejk prezentuje uśmiech i równowagę ducha.

Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

Cd.

Parę mi-
nut cze-

kania... Pokazały się samochody ciężarowe – i z chwilą, kiedy zrównały się z tyralierą, dałem sygnał gwizdem: Ognia! Posypał się grad pocisków po samochodach, a przeważnie po kabinach. Jak dokładnie zauważyłem, pierwsze dwa gwałtownie skręciły w rów i motory nieczynne. Strzelanina jeszcze trwa. W tym napięciu nie byłem w stanie wszystkiego zaobserwować, tylko tyle, że droga została zatarasowana. Niemcy widocznie myśleli, że wpadli na większą partyzantkę, uciekli w las w dół, nie oddali żadnych strzałów. Rozbiliśmy wszystkie butelki z benzyną, które mieliśmy ze sobą. Cały napad trwał bardzo krótko, parę minut. Sam naliczyłem cztery samochody, które się paliły, lecz jak się później okazało, było ich razem siedem. Dałem rozkaz wycofania się. W lesie jest ciemno, uciekamy w oznaczone miejsce zbiórki. Obróciłem się w tył i widać było jasność – jak palą się samochody. Z daleka słychać w pędzie pociąg, ale w jakim kierunku – nie można było się zorientować. Po półgodzinnym mniej więcej marszu znaleźliśmy się w oznaczonym miejscu, bezpieczni. W parę minut po wycofaniu się słychać było kilka krótkich serii z automatów. Po sprawdzeniu stanu ludzi stwierdziłem brak trzech. Bardzo się tym przejąłem, obawiając się, czy nie zostali może ranni lub złapani – to wtedy przepadniemy

wszyscy i cała wieś. Ludzie pocieszali mnie, że ci, których brakowało, ranni nie mogli zostać, ponieważ Szwaby w ogóle nie strzelali, a do lasu nie podchodzili. Po kilku minutach dał się słyszeć szelest w lesie i odgłos chodu ludzkiego w kierunku do nas. Od razu pomyśleliśmy, że to brakujący ludzie – i tak faktycznie było. Na moje zapytanie, dlaczego spóźnili się, że my tu denerwujemy się, odpowiedzieli dość wesoło: „Nie baliśmy się, ponieważ Niemcy nie strzelali, a uciekli; chcieliśmy zobaczyć, co będzie dalej”. Opowiedzieli, że wszystkich samochodów było siedem, z czego pierwsze cztery zostały podpalone i jakby mieli przy sobie benzynę w butelkach, to byliby się podczołgali i podpalili pozostałe. Z tego miejsca nie było widać już tony z palących się samochodów. Po odpoczynku odmaszerowaliśmy w kilku grupkach skróconą drogą do Milczyc. Po północy byliśmy na miejscu. Wartownicy zameldowali mi, że jest wszystko w porządku i że zastępca i Hawliczek parę minut temu poszli odpoczywać, ponieważ cały czas byli obecni z nimi.

W tym dniu, po tej nieudanej wyprawie, nad ranem, ledwie tylko usnąłem, obudził mnie wartownik, że do wsi przybyło około pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych; część ma niemieckie mundury (tylko bluzy i spodnie), część w mundurach polskich, reszta po cywilnemu. Rozmawiają po polsku i są koło szkoły. Szybko się ubrałem i zapytałem: „A jak ich puściliście?”. Odpowiedział, że to Polacy. Po drodze spotkałem kilku swoich ludzi, którzy oznajmili mi, że to polska partyzantka. Koło szkoły zastałem już zastępcę, który rozmawiał z dwoma mężczyznami, reszta ludzi siedziała koło szkoły. Zastępca przedstawił mnie jako dowódcę oddziału. Po przywitaniu się weszliśmy do klasy na krótką rozmowę – dwóch mężczyzn przybyłych, zastępca

i ja. W trakcie rozmowy jeden z nich oznajmił mi, że jest dowódcą oddziału AK. Oddział jego liczy czterdziestu pięciu ludzi i że są to sami lwowiacy, przeważnie młodzież akademicka i robotnicza. Chcą tu zakwaterować na pewien czas. Nie będziemy sobie przeszkadzać, a raczej wspólnie w razie potrzeby pomagać. Nie ma żadnej różnicy między BCh a AK. Na co odpowiedziałem mu, że nasz cel ten sam – nie ma różnicy. Dowódca tego oddziału, około 40 lat, (jak się później okazało – oficer zawodowy, pseudonim Andrzej) powiedział, że oddział jego posiada bardzo dobre uzbrojenie i jest szkolony. Zastępca mój zaproponował im kwatery na plebanii, połowa ludzi w stodole, również na plebanii, reszta u jednego rolnika w pobliżu plebanii. Po czym rozeszliśmy się z propozycją spotkania po południu. Jak stwierdziłem na miejscu, oddział AK był uzbrojony po zęby. Każdy z ludzi posiadał automat niemiecki, pistolet, parę granatów oraz nóż za pasem. Oddział bardzo zdyscyplinowany. Pomyślałem sobie, że wieś Milczyce jest obecnie zdolna odeprzeć nawet kilkakrotnie liczebniejszą bandę UPA. Od tego dnia wspólnie od zmroku do rana pilnowaliśmy Milczyc. Po dwóch dniach oddział AK co drugi dzień wieczorem wychodził na noc w kierunku Rudek – Komarna, a nad ranem wracali z powrotem. Jednego dnia nad ranem przyszli bardzo zmęczeni. Dowódca oddziału Andrzej poinformował mnie, że w okolicy Rudek natknęli się na bandę ukraińską, która ich napadła. Przynieśli ze sobą swoich trzech rannych, w tym jednego ciężko i umieszczono ich w przybudówce kościoła. Czuwają przy nich dwaj mężczyźni po trzecim roku medycyny. Banderowcy zostali przepędzeni, tracąc kilku zabitych i na pewno kilkanastu rannych. Trzech wzięto do niewoli. Zostali przyciśnięci i wyśpiewali, że

mają zamiar zniszczyć całe Milczyce, tj. spalić wieś oraz jeszcze inne miejscowości, a Lachów pozabijać. W końcu zeznali, że brali udział już w kilkunastu napadach. Dalej zeznali, że są zakwaterowani w ukraińskich wioskach, gdzie już Polaków nie ma, bo już nie żyją. Żywność im dowożą chłopcy z wiosek, a mięso mają z bydła, po nieżyjących Polakach. Część banderowców biwakuje w lesie. Na zapytanie ilu ich jest, odpowiedzieli, że jest ich ponad pięćset osób i że są u nich też Niemcy, którzy zdezerterowali z wojska. Zapytałem Andrzeja, gdzie są ci jeńcy ukraińscy; z uśmiechem odpowiedział, że pojechali do św. Piotra po rozgrzeszenie za mordowanie Polaków. Od tego dnia postanowiliśmy od zmroku do rana być w ostrym pogotowiu z całym oddziałem. Z gospodarstw, które znajdują się bliżej lasu, kobiety, dzieci i starcy mają się zgrupować w bezpiecznym miejscu – bliżej kościoła i w samym kościele. W tym czasie nie było mowy o jakiejś dywersji. Pokopano i dobrze zamaskowano stanowiska na dwa ckm oraz rowy strzeleckie, a w niektórych miejscach to nawet zaciągnięto stary drut kolczasty. Daty nie pamiętam, kiedy przydzielono mi z Gródka Jagiellońskiego cztery przeszkolone sanitariuszki wraz z apteczkami, tj. trochę lekarstw, opatrunków. Dziewczynki dotarły do Sądowej Wiszni, skąd pod eskortą kilku ludzi dostały się do nas. Były to dzielne sanitariuszki. W takim to napięciu żyliśmy parę dni. Liczyłem się z tym, że należy się spodziewać napadu w każdą noc. Odpoczynku w ogóle nie było. W tym czasie zachorowałem na zapalenie okostnej, spuchła mi cała twarz do tego stopnia, że oczu w ogóle nie mogłem otworzyć. Czułem się bardzo źle.



MISCELLANEA

ab imo pectore

Zenon Rogala

PERŁA

Byłem tego ciekaw. Bardzo byłem. I choć mogło się wydawać, że zgoda na spotkanie przychodzi mi z trudem, w gruncie rzeczy bardzo mi zależało, aby do tego spotkania doszło i abym mógł doświadczyć tego dziwnego przeżycia, w jakich przecież wielokrotnie uczestniczyłem. Dziś będzie inaczej, dziś to ja będę ten najważniejszy, dziś to na mnie przyjdą. Byłem bardzo ciekaw jak wygląda takie spotkanie od tej drugiej strony. Wiele razy siedziałem wśród zgromadzonych przed spotkaniem, a również wiele razy wchodziłem w ostatniej chwili na takie spotkania, a przecież bywało, że wiele razy wychodziłem z różnych spotkań, syty tych wrażeń, jakich doznałem lub jakie mnie rozczarowały. Dziś inaczej. Dziś to na mnie przychodzi i dziś to ja będę siedział na środku. I to na mnie patrzeć będą zgromadzeni w tej średniej wielkości sali. Stałem z panią kierowniczką za kulisami i właściwie wszystko już zostało ustalone, wszystko to, co za chwilę miało się zacząć. Tych ustaleń było niewiele. Ot, po prostu pani kierowniczka wyjdzie, zapowie i zaprosi na spotkanie z młodym pisarzem.

Światło mocno oświetlało tę niewielką scenę i umieszczony na środku kwadratowy stolik. Przed spotkaniem prosiłem, aby pluszowa narzuta służąca za obrus do przykrycia blatu, zwisała z przodu widowni aż do samej ziemi po to, by widok szanownych nóg autora nie był niepotrzebną okazją do rozpraszania uwagi zebranych czytelników. Wielokrotnie bowiem przekonałem się, uczestnicząc w takich spotkaniach, jak bar-

dzo rozpraszał mnie widok nóg pod stołem, którymi autor nieświadomie odwracał uwagę zebranych. Raz trzymał je skrzyżowane i w tym czasie jedna stopa wykonywała dziwne ćwiczenia gimnastyczne w przegubie stopy, innym znów razem nagle i niespodziewanie nawet dla właściciela kończyn, jakby dla odpoczynku, obie nogi nagle zostawały wysunięte w kierunku widowni i założone jedna na drugą potrafiły kołysać się nieustannie. Żeby tego rozpraszania oszczędzić swojej widowni, prosiłem o stosowną kurtynę dla moich nóg, w celu oszczędzenia dodatkowych wrażeń w czasie spotkania.

- Proszę państwa, gościmy dziś autora wydanego na jesieni zbioru opowiadań pod tytułem „Peretki”. Ponieważ jest młodym pisarzem, prosimy o liczne pytania, żeby mógł się przekonać, że w naszym miasteczku również jest znany i chętnie czytany. Mam nadzieję, że ze spotkania obie strony wyjdą zadowolone - taki był mniej więcej sens tego co powiedziała przed spotkaniem pani kierowniczka, zanim faktycznie zostałem sam na sam z widownią.

- Ja w kilku słowach zapowiem pana, a potem już sam będzie pan sobie radził - zapowiadała, kiedy przed chwilą kończyliśmy pić kawę w jej maleńkim gabinecie.

- Proszę być przygotowanym na grad pytań, taką mamy dziś widownię - dodała.

Wszedłem na tę oblaną światłem podłogę sceny. Starłem się przebyć odległość między kulisami a środkiem sceny najszybciej jak się da, aby jak najszybciej znaleźć się na środku, gdzie czekała na mnie zbiawenna wysepka, dająca poczucie bezpieczeństwa. Kiedy usiadłem, z ulgą zobaczy-

tem, że kurtyna na moje nogi została zapuszczona dość szczelnie. Zanim usiadłem i zanim wzrok przyzwyczał się do nietypowej ilości luksów, zauważyłem, że sala była niewielka, a na widowni znajdowało się kilkanaście osób, przeważnie rozrzuczonych po całej widowni w zupełnie przypadkowy sposób. Zanim usiadłem, zobaczyłem też panią kierowniczkę zmierzającą do jej stałego w takich okazjach, środkowego miejsca w pierwszym rzędzie.

- Bardzo przepraszam za to, co powiedziała o mnie pani kierowniczka, że jestem młodym pisarzem, otóż, chcę od razu powiedzieć, a już po moim wyglądzie każdy stwierdzi, że jestem stary, bo jestem starej daty jegomościem, a czy pisarzem, to trzeba się przekonać po przeczytaniu tych opowiadań, bo przecież nie każdy, kto coś tam napisał, od razu jest pisarzem.

- No właśnie, właśnie - zobaczyłem majaczącą postać w głębi sali. Wstała przyciskając do płaskiej piersi płaską torebkę; widać, że zaraz zacznie...

Ja też wstałem, zanim zaczęła i żeby nie wyjść na gburę od razu powiedziałem, że nie mogę siedzieć, jeśli pani będzie stała. Więc ona usiadła, potem ja...

- Pan zatytułował ten zbiorek „Peretki”, a ja myślę, że zrobił to pan z taką perfidią, żeby ukryć swój stosunek do czytelnika, którego traktuje pan jak stado co najmniej baranów, jeśli nie wieprzy, bo przecież jest takie powiedzenie o rzucaniu peret przed wieprze i pan właśnie chcąc zakamufłować swoje o nas, czytelnikach, zdanie, specjalnie taki tytuł dał pan tym swoim peretom. Więc niech pan przyzna, że tym tytułem chciał pan nas urazić i dać wyraz pogardzie dla prostego człowieka.

Dobrze, że siedziałem. Nie wiem, co by było, gdybym stał, ale prawdopodobnie leżałbym już na podłodze znokautowany przez tę panią z płaską torebką.

- Ja chcę zapytać, jaki ma pan warsztat, to znaczy jak to się dzieje, że nagle

siada pan i pan pisze, jak pan pisze, czy ręcznie, po prostu na papierze, a potem przepisuje, czy ołówkiem, czy długopisem, czy też może na komputerze, bo sądząc z pana wieku nie wiadomo czy umie się pan tym posługiwać?

- A dlaczego nie nazwał pan tej swojej pisaniny pamiętnikami? Przecież ciągle pan wraca do zamierzonych czasów swego dzieciństwa lub młodości i sądzi pan, że to zainteresuje zwłaszcza młodzież, która dzisiaj posiada inne wzorce?

- Czy pisze pan teraz coś jeszcze, bo widać, że pisanie przychodzi panu z łatwością i mniemam, że powinien pan już mieć napisanych kilka powieści?

- Ile pan dostał za ten tomik opowiadań i czy z pisania da się w ogóle wyżyć?

- Czy ma pan żonę i dzieci, a może miał pan już kilka żon, bo z wami poetami i pisarzami nigdy nic nie wiadomo.

- Czy chodzi pan do kościoła i czy wierzy pan w boga i życie pozagrobowe?

- Czy ten opel, co stoi przed naszą świetlicą, to pański samochód?

- Zauważyłam, że ma pan bardzo charakterystyczny styl, właściwy tylko pańskiej prozie. Poznałabym pańskie pióro już z daleka. Bardzo mi się to podoba i niech pan tak trzyma dalej.

- Skoro już pan jest, jak sam pan mówi, całkiem niemłody, to proszę powiedzieć, ale całkiem szczerze, czy miał pan w życiu kochanki i czy miały one na pana i pańską twórczość jakiś wpływ?

- Czy ma pan dzieci i ile?

- Pańskie zdania są zbyt rozbudowane. Czytałem już w życiu tyle różnych książek, ale tam, panie, przeważnie zdania są krótkie, treściwe i wszystko wiadomo od początku do końca, o co tam chodzi. Panie, a u pana, jak pan zacznie jakąś nawet ciekawą myśl, to tak pan to zagmatwa i podkoloruje, że muszę często dwa razy czytać to jedno zdanie, żeby połapać się, o co panu chodzi. Miej pan litość i pisz pan prosto i węzłowato!

- Co pan teraz pisze, bo że pan pisze, to jestem całkiem pewna...

- Ciekaw jestem pańskiego zdania na temat obecnej sytuacji politycznej i gospodarczej naszego kraju, słowem - jak pan widzi przyszłość...?

- Czy wierzy pan, że jeszcze za naszego życia będzie koniec świata?

- A czy ten dziennikarz z telewizji, co nazywa się tak jak pan, to pańska rodzina, bo trochę nawet do pana jest podobny...

- Czy powinno się karać za palenie marihuany, bo picie alkoholu i palenie tytoniu nie jest karane, a przynosi straszliwe skutki w społeczeństwie?

- A czy pan wie, że aby powstała nawet jedna najmniejsza peretka, to zwierzątko, które ją wytwarza, okupuje to wielkim bólem i cierpieniem. I to, co dla nas ludzi jest przedmiotem pożądania i chluby, dla innej istoty jest przekleństwem, katorgą. A im większa perła, tym większe cierpienie i kalectwo.

- Tak, wiem o tym bardzo dobrze i dlatego ten zbiorek nosi tytuł „Peretki”, a ten grad pytań utwierdza mnie tylko, że tytuł jest bardzo trafny - powiedziałem wychylając się spod pluszowego obrusa na stole.

A S T M A Nie chciałem, żeby mnie od-

prowadzała. Jedy-

ny o świcie pociąg nie będzie czekał, zwłaszcza na mnie - jadącego do miasta, gdzie było moje liceum - przeważnie jedyne, wsiadającego o tej wczesnej porze, kiedy siarczysty mróz mierzył się z buchającym gorącą parą pociągiem. Do stacji było dość daleko. Sam bezpiecznie zdążę, zanim czarny potwór w kłębach pary zacznie pokonywać białą przestrzeń. Sam dobiegnę nawet z dwiema torbami: jedną - z czystą, wykrochmaloną bielizną i z tą drugą - ze stoikiem smalcu i garnkiem nieznannej mi ilości smażonych kotletów mielonych, jakich nikt już nie robi. Sam łatwiej pokonam drogę idąc po pojedynczych śladach w głębokim śniegu, wykonanych przez kogoś przed nami. Sam tak, ale... żeby za mną zdążyć, musiała truchtać obok. I tym sposobem oboje wytyczaliśmy w kopnym śniegu nowe o tej porze ślady. Czuję, że trzymając mnie pod rękę, dyskretnie sprowadzała mnie na te już wykonane przez kogoś ślady. Ja też chciałem wzajemnie dokonać podobnego, trudnego manewru, aby jej ułatwić pokonywanie śnieżnych zasp. Nie chciałem, żeby mnie odprowadzała także dlatego, że im bliżej stacji, tym głośniejszy stawał się oddech i świst świadczący o jej

problemach z oddychaniem. Śnieg walił nam w oczy, jakby chciał, żebym się spóźnił. Dlaczego uparła się, żeby pchać się ze mną w takiej sytuacji, która grozi spóźnieniem? Dlaczego, mimo że coraz bliżej do stacji, my idziemy coraz wolniej? Czasu było coraz mniej i byłem już pewien, że nie chciałem, żeby mnie odprowadzała - sam dobiegnę w parę minut.

- Święty Krzysztofie - patronie podróży, proszę cię spraw, żeby mój syn zdążył na ten pociąg!

Słyszałem tę najdziwniejszą modlitwę, której słowa wypowiedane były z coraz większym trudem. Wymawiane były z długimi między słowami przerwami, na kilkakrotne zaczerpnięcie powietrza. Byłem pewien, że święty Krzysztof przewraca się o tej porze na drugi bok i nie w głowie mu problemy jakichś ośnieżonych bałwanów idących na stację kolejową.

Cud jednak wisiał w mroźnym powietrzu, bo wtedy z ulgą usłyszałem świst zbliżającej się do stacji lokomotywy. Zdążyliśmy! Chyba sam Święty Krzysztof zastąpił maszynistę, żebym zdążył na pociąg. Szkoda, że ani wtedy, ani teraz, nie znam nikogo w niebie, kto jest specjalistą od astmy, gdyż wtedy dla mamy, a dziś dla siebie poprosiłbym o pomoc.

CIEŃ

„Daj mi wstążkę błękitną... - był jednak wieszczem, skoro przewidział taką sytuację, że jego czciciel wykorzysta ten wiersz do podwalania się do Ciebie, moja ty luba na wieki... swoją drogą piękna jest ta Twoja fioletowa kokarda...” - taka treść grypsu została posłana znaną i utrwaloną trasą między ławkami w maturalnej klasie, do mojego zapatrzania, do wszystkiego, co najważniejsze w tamtym świecie, w tamtym czasie.

Wystarczyło siedząc prosto, położyć na blacie ławki za plecami, złożoną na kształt pocisku karteczkę, a jej los, do chwili dotarcia do adresatki, był pilnie strzeżoną tajemnicą klasową. Tajemnica korespondencji karteczkowej nabierała specyficznego dla konspiracji uczniowskich uczuć, typowego napięcia. Dreszczyku emocji dostarczał problem przenoszenia i odczytywania zawartości tego zwitka papieru. Zdarzało się, że adresatka odpowiedzi nagle i niespodziewanie i z nieznanym nikomu, poza mną, powodów, parsknęła głośnym śmiechem. Tym razem odpowiedź przyszła pocztą ekspresową; odpowiedź brzmiała okrutnie: „Norwid nie pisał dla takich osłów jak Ty, jestem też pewna, że napisał wstążkę, a nie wstąszkę. Będę czekała tam, gdzie zawsze”. Cała Basia. Uwielbiałem ją za ten dowcip, za dystans, za inteligencję.

Często spotykaliśmy się na tym cmentarzu. Tu czuliśmy się w miarę bezpieczni, mogliśmy, niby to niechcący, trzymać się za ręce, zbierać kasztany, dotykać się i całować bezkarnie. Tu mogłem, z troską o jej wygląd, poprawiać jej twarde włosy i podsu-

wać niesforne kosmyki pod ciepły moherowy beret. Niekiedy przysiadła na kamiennym grobowcu, aby z przepastnej torby wyjąć jakiś przedmiot, jako dowód do rozstrzygnięcia niewinnego sporu między nami. Lubiłem odczytywać teksty zapisane na kamiennych pomnikach, obliczając, ile lat przed nami ktoś tułał się po tym łez padole. Dziwne, ale daty najwcześniejsze miały wielkie powodzenie. Jak również te jeszcze wczorajsze. Tutaj też snuliśmy pierwsze, nieudolne, licealne plany na przyszłość, tę jutrzejszą, szkolną, i tę akademicką, niepewni czy zdamy egzaminy na różne uczelnie, ale na szczęście w jednym mieście. Jeszcze wtedy nieświadomi, że niewidzialna ręka losu wprowadzi w te plany radykalne korekty lub całkiem usunie niektóre punkty.

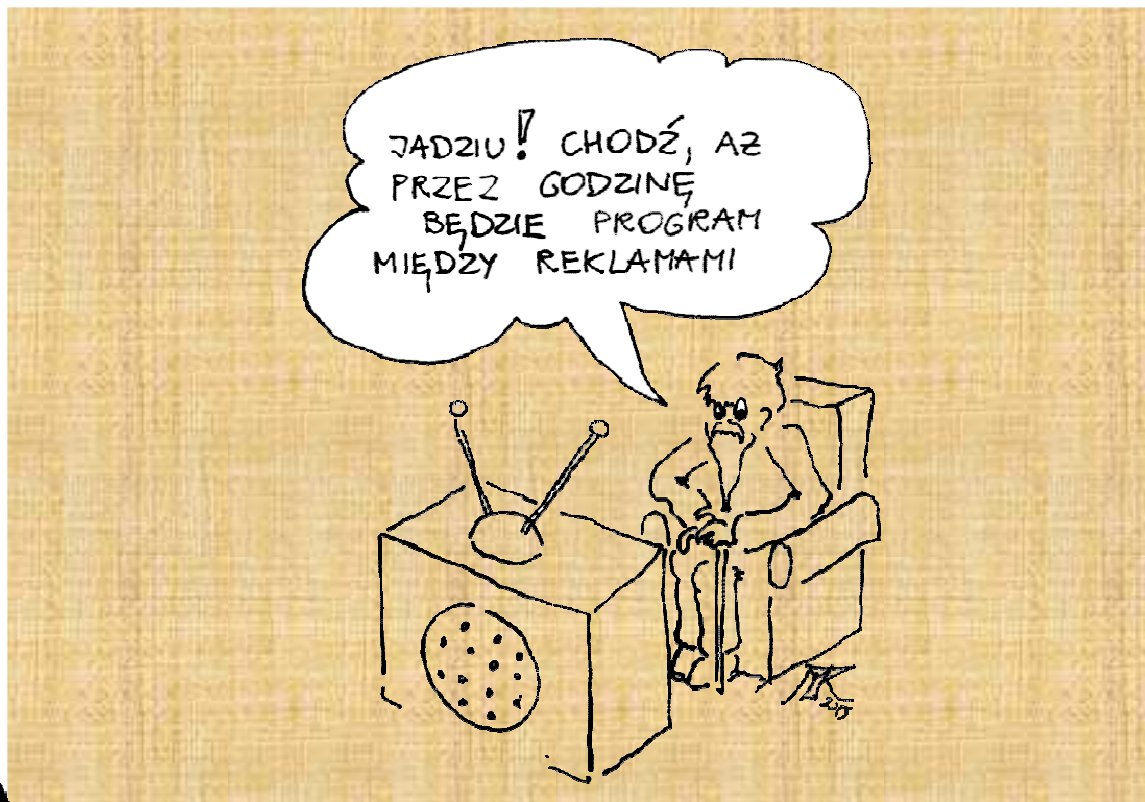
Jeszcze tak niedawno z nieskrywaną radością wchodziłem w ten zadrzewiony, poprzecinany alejkami teren. Wtedy dla niej tu biegłem i dla tego nastroju lekkości, jaki ogarniał nas w czasie naszych spotkań, ale i po nich.

„...albo daj mi cień twój z giętką szyją...” - przypominam myśli refleksyjnego poety.

Dzisiaj też tu idę, ale bardzo powoli. Chcę, inaczej niż kiedyś, opóźnić nasze spotkanie, bo wiem, że inaczej niż kiedyś, zawsze już będziesz tu na mnie czekać. I choć minęło tyle wartkich lat, idąc znanymi alejkami, odnajduję tamten nastrój uniesienia, tamten zapach powietrza, tamten puls bijącego serca. Niby taki sam, jednak znacznie bogatszy. Wiem już na pewno, że to o tę fioletową wstążkę w bukietach kwiatów chodziło poecie.

KROPKA

Dosyt. Ulga. Finał.
Śmierć. Kres. Spokój.
Pustka. Odpoczynek.
Koniec. Otchłań.
Kosmos. Nic. Niebo.
Wszystko. Tu. Punkt.



K U R I O Z Y D O W S K I

Włoskie Towarzystwo Ubezpieczeń „Generali” robiło na terenie miasta Lwowa kokosowe interesy. Przyczyniał się do tego w niemałym stopniu obrotny agent, Gedeon Lipszyc.

Po dojściu do władzy Mussoliniego zaczęto, jak wiadomo, zwalniać masowo ze wszystkich urzędów i przedsiębiorstw włoskich pracowników mojżeszowego wyznania.

Wtedy to dyrektor wezwał do siebie Gedeona i oświadczył:

– Jesteśmy niezmiernie zado-

woleni z pańskiej pracy. Ale wiadomo panu, co się dzieje w ojczystej Italii. Mam dla pana propozycję: ponieważ nasze nowe ustawy są liberalniejsze od hitlerowskich i nie wymagają od pracowników wykazania się aryjskim pochodzeniem, wystarczy zmienić wyznanie. Proszę zatem przyjmując chrzest i wszystko będzie w porządku.

Agent żydowski po krótkim namyśle zgadza się.

Nie minęło dwadzieścia minut, gdy do biura przybył specjalnie w tym celu zaproszony proboszcz pobliskiej parafii. Dyrektor wprowadził

go do gabinetu, przedstawił przyszłego neofitę, a sam wycofał się dyskretnie do hallu.

Uptywa godzina, półtorej, dwie... Wreszcie z gabinetu wychodzi spocony jak mysz proboszcz, a za nim kroczy z triumfującym uśmiechem Gedeon Lipszyc.

Dyrektor zrywa się z krzesła.

– Czy można panu złożyć gratulacje? Jest pan już ochrzczony?

Ja ochrzczony? – zdziwił się Gedeon. – Cóżes pan? Pan ksiądz jest ubezpieczony na życie...

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYSŁA

w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31-455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl

Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236

Redakcja: Czestaw Kudła – red. nac., M. Frodyma. Współpraca: Z. Ostrowski, M. Kozera.

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ
PRZEMYSŁA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ
NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo aduatacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.